

Dekada

8 grudnia 1990, sobota numer 2

Literacka Tygodnik

W POSZUKIWANIU EUROPY

CZEŚĆ I: KOMPLEKSY I PEREGRYNACJE

Maria Delaperriere

Profesor historii literatury polskiej w Paryżu, pani Maria Delaperriere, w swym dwuczęściowym eseju zastanawia się nad tym jaka będzie symbioza tego co „narodowe” i tego co „europejskie” w polskiej mentalności — dziś, gdy zwracamy się ku Europie. Część druga eseju pod tytułem „Powrót do źródeł” w następnym numerze.

Europa jest pojęciem bardzo szerokim i dlatego trudnym do sprecyzowania. Samo obiektywne istnienie Europy — kontynentu wprawia często w zakłopotanie: czy należy do niej Rosja? Albo Balkany? Czy ma rację francuski socjolog Emmanuel Todd, gdy wyklucza z Europy Grecję, Bułgarię i Rumunię zbyt jego zdaniem oddalone od tradycji rzymskokatolickiej? Obraz Europy zmienia się więc w zależności od historii. Wiedzą o tym doskonale historycy, toteż Krzysztof Pomian w swojej książce „Europa i jej narody” zastrzega się już we wstępie:

„Tylko zła geografia nie biorąca pod uwagę czasu przypisuje Europie kontury stałe i tylko historia zapominająca o swych zasadach może jej przyznać treść jedyną i niezmienną bądź religijną bądź prawniczą, ekonomiczną, etyczną czy kulturalną”.

Ale i tu nie kończą się wszystkie trudności związane z Europą. Obok tego dość chwilowego obrazu rzeczywistości istnieje Europa idea, hasło wywoławcze zespołu wartości kulturowych, składających się na wielki mit Europy, której przydaje się odmienne sensory w zależności od tego w jaki sposób została ona wpisana w świadomość indywidualną czy zbiorową, to znaczy w jaki sposób jej pojęcie splotło się z daną kulturą etniczną i tradycjami specyficznymi każdego w jej skład wchodzącego narodu. Powstaje więc pytanie, czy w tym niebywałym pluralizmie sensów można odnaleźć jakiś wspólny trzon będący synonimem kultury europejskiej?

Zastanawiano się już nad tym wielokrotnie. W latach sześćdziesiątych powstała pierwsza wielka panorama kultury europejskiej zatytułowana *Dwadzieścia wieków Europy*. Autorem jej był uczyony szwajcarski Denis de Rougemont, założyciel Ośrodka Kultury Europejskiej w Genewie. De Rougemont starał się odtworzyć przede wszystkim ewolucję duchową Europy sięgając do jej korzeni mitycznych (mit bowiem wyprzedził historię: imię Europy — córki Apollina odnaleźć można już u Hezjoda natomiast Europa jako pojęcie geograficzne pojawi się dopiero w kilka wieków później u Hipokratesa, następnie u Herodota).

Warto przytoczyć za szwajcarskim uczonym jedną z ciekawszych (stymulujących) wersji raptu Europy odnotowaną przez Pausaniasza: porwanej Europy poszukuje daremnie brat Cadmos i gdy zrozpaczony zwróci się wreszcie do wyroczni, Pytia mu odpowie, że Europy odnaleźć nie można, ale należy ją stworzyć. (Cadmos zbuduje Teby).

Tu właśnie, jak twierdzi Rougemont rysują się mityczne podwaliny duchowej Europy. Tworzy się ona stopniowo w wysiłku twórczym, który pogłębi misjonarska ekspansja uczniów Chrystusa. Rodzi się w ten sposób zespół wartości łączący tradycję grecko-rzymską, w której wykształtowały się pojęcia demokracji i dialogu (jej ojcem duchowym będzie Sokrates) i tradycję judeo-chrześcijańską opartą na ewangelicznym posłannictwie.

Europa jako konstrukcja duchowa powiąże sokratyczne dążenia do prawdy i niezależności myśli wraz z Chrystusowym umiłowaniem ludzkości. Obraz Europy jako córki Sokratesa i Chrystusa, gdzie Sokrates symbolizuje umysłowość europejską a Chrystus jej wolę, powracać będzie w zachodniej topice literackiej aż po współczesność, między innymi u Salvadora de Madariaga czy wcześniej u Paula Valery, autora takiej oto definicji:

„Gall (...) piszący po łacinie wspaniałe hymny na cześć Syna Bożego, który urodził się jako Żyd pod panowaniem Heroda: to już prefiguracja Europejczyka”.

ciąg dalszy na str. 4

Octavio Paz

Twarz i wiatr

*Pod nieugiętym słońcem
rdzawe równiny i wzgórza spłowiały.
Wspiąłem się poprzez chaszczę, łącie koźlim zboczem,
tam, gdzie ruiny:
odłamane pilastry, bezgłowi bogowie.
Niekiedy — potajemne skrzeczenie:
jakaś żmija albo jaszczurka.
Przyczajone na głazach,
barwy jadowitej
— całe plemiona jakże kruchych stworzeń.
Kragły dziedzinięć, jakiś mur splekany
i w ziemię wrosły — niczym ślepiec nagi,
drzewo korzeni wszelkich — mistyczny figowiec.
Ulewa światła. Szary toból: Budda.
Zatarta masa kształtów;
po urwisku twarzy
schodziły oraz pięły się pod górę mrówki.
Nie tknięty jak dotąd
uśmiech, wciąż jeszcze uśmiechem będący;
zatoka blasku, ciszy i pokoju.
Więc stałem się na chwilę tym wiatrem przejrzystym,
co w pół drogi przystaje
i w wir się wpięrow zamienia, a potem rozprasza.*

[1982]

tłum. Andrzej Nowak

Octavio Paz

Obrona miłości

Prezentujemy fragment eseju, który zamyka najgłośniejszą książkę Octavio Paza pt. „*Labirynt samotności*”. Tytuł pochodzi od Redakcji. Książka w przekładzie Jana Zycha ukaże się niebawem w Wydawnictwie Literackim.

Patrz strona 3

1

Leszek Polony Między dźwiękami Muzyka i polityka

O muzyce piszę już nieprzerwanie od 20 lat, o polityce przestałem 15 lat temu. Podjąłem wtedy taką decyzję pod wpływem rozczarowania dla systemu wartości, któremu służyłem wiernie, z młodzieńczym entuzjazmem, acz nigdy bezkrytycznie. Właśnie wtedy, w połowie lat siedemdziesiątych, kryzys i rozkład owego systemu stał się dla mnie rzeczą oczywistą. Nie ma w tym żadnego powodu do dumy — koń jaki jest, każdy widzi. Można było wszakże przyjmować ów stan rzeczy z wyrachowaniem — a można było także przeżywać go od strony emocjonalnej. Rozumiem aż nadto dobrze ewolucję w ludzkich poglądach. Rozumiem szamotaninę psychiczną i bolesne przewartościowanie. Nie rozumiem natomiast woli i cudownych metamorfoz, dokonujących się w jednym momencie, z dnia na dzień.

Kiedy obserwuję, co wyprawiali i wyprawiają moi dawni przyjaciele i koledzy po piórze, ogarnia mnie jeszcze większe obrzydzenie do polityki. A czasami wstyd, iż jestem przedstawicielem profesji, w której elementarna uczciwość stała się tak rzadką wartością. Mam w swoim archiwum teczki wycinków prasowych, zatytułowaną: prasa stanu wojennego. Oto młody człowiek, który straszyl wówczas środowisko muzyczne normalizacją. Dziś pisze z egzaltacją o zbrodniach bolszewizmu. Oto przyjaciel, którego broniliśmy przed konsekwencjami odważnych występów publicznych i jego późniejsze felietony, podważające sens i moralne prawo do protestu ludzi kultury przeciw politycznym przesładowaniom. Oto starszy kolega, który sekretarował redaktorowi naczelnemu, pisańością.

Wydawało się, że się rozumiemy. Nigdy nie widziałem tych

dwóch spraw tak zupełnie osobno, tak radykalnie przeciwstawnie. Czy można rzeczywiście uczestniczyć w pełni w innym, lepszym, szlachetniejszym świecie wartości czysto artystycznych — i zarazem być świnią w życiu publicznym? Czy zachwyty owej świni nad cudowną frazą skrzypiec, wyczelowaną strukturą dźwiękową symfonii Mozarta, elegijnym i nostalgicznym tonem Chopinowskiej Fantazji — nie jest zatem jakimś oszustwem, fałszem, pozą? Wypada przecież być kulturalnym, zachować się dobrze w salonie. Co to wszakże ma wspólnego z autentycznym przeżyciem sztuki?

Nie chcę odwoływać się do znanego, najbardziej drastycznego przykładu i zarazem dylematu — tego zza oświecenijskich drutów. Tam też grywano sobie na skrzypcach Mozarta. Istnieje zasadnicza różnica między błędem, upadkiem i zbrodnią. Nie chodzi więc o żadne porównanie. Błąd i upadek można zawsze zrozumieć. Można je wybaczyć. Chcę przez to przypomnienie powiedzieć jedno i proszę mnie precyzyjnie zrozumieć: tamte okrutne antropoidy w czarnych mundurach także twierdziły, że kochają Mozarta. Jednakże z przesłaniem jego sztuki nie miały nic wspólnego — rozchodząc się z nim najbardziej gruntownie jak tylko można.

W latach stalinowskich wielki polski pisarz muzyczny Stefan Kisielewski wszczął samotną kampanię przeciwko muzycznemu socrealizmowi. Kampanię pod hasłem autonomii czystej formy muzycznej. O co chodziło Kisielowi? O wolność wypowiedzi artystycznej. O prawo sztuki do praw stałych, odwiecznych — tego, co można nazwać wertykalnym wymiarem ludzkiej kondycji. O obronę sztuki przed doraźnością i politycznym koniunktu-

rzowi zarazem i belkotliwemu felietoniście, zawsze dostosowującemu się do aktualnej sytuacji. Kilka tygodni przed ogłoszeniem stanu wojennego ów felietonista przypominał generałowi Jąrzelskiemu o losie Imre Nagy'a. Jego ówczesny wierny sługa (ów felietonista), dziś jest namiętym i demagogicznym krytykiem rządu Mazowieckiego — przestaje już być istotne, spod jakiego sztandaru, bo ten można zmienić z dnia na dzień. Oto mój były kolega redakcyjny, który udziela mi na korytarzu redakcji „Gazety Krakowskiej” pouczeń moralnych... choć do powrotu do grona dawnych kolegów zachęcał mnie już dwa lata temu.

Zbyszku, Heńku, Wojtku, Andrzeju. Co się z Wami, narany Boskie, dzieje?

Mówiliście mi niekiedy, że bardzo lubicie muzykę, że dostarcza Wam ona wielkich i silnych przeżyć. Otóż myślałem zawsze, iż mimo odmienności zapamiętań politycznych, wiar i przekonań — można się przecie spotkać na pewnym wspólnym gruncie. Jest nim kultura, świat wartości artystycznych i estetycznych — który ma swoją autonomię, ale nie jest nigdy indyferentny moralnie. Przykładów bez liku, sięgam po pierwszy z brzegu. Teofil Gautier pisał wyzywająco, że malarstwo, rzeźba i muzyka nie służą niczemu, że sztuka jest pławieniem się duszy w próżności, czystym zbytkiem. A przecież jego wiersze miłosne, umuzyycznione przez wielkiego kompozytora francuskiego Hektora Berliozę, przejmują swą ludzką treścią: smutkiem, melancholią, tragizmem, rozpaczą rozstania. Tęsknotą za innym, lepszym światem. Apoteozą wielkiej miłości, która jest zarazem bezgraniczną wieralnością. Słowem — o obronę Bacha przed kantatami na cześć Stalina. Nie zaś o prawo do beztroskiej zabawy w cynicznym, okrutnym czy wręcz zbrodniczym świecie.

Chciałbym, drodzy koledzy i przyjaciele, z którymi duchowo się rozstałem, pogwarzyć z Wami, jak dawniej, przy kawie lub kieliszku. Wsłuchajcie się czasem w muzykę. Nie tylko tę z radia, płyty czy koncertowej estrady. Także w muzykę swojej duszy.

Przegląd Prasy

Tragikomicznym żartem historii wydają się już dziś publikacje w niektórych czasopismach z ubiegłego tygodnia, mówiące o pierwszym etapie kampanii wyborczej. Na przykład dobre reportaże: Jurka Jureckiego w *Tygodniku Podhalańskim* (nr 46) o zakopiańskim wiecu zwolenników Wałęsy i Aliny Kwapisz—Kulińskiej w *Po prostu* (nr 42) o spotkaniu przedwyborczym przewodniczącego w Łodzi. Trudno uznać je za propagandę Lecha, to co pokazują nie jest zachęcające, a jednak dziś, w kilka dni później, wielu z nas mówi trawestując przewodniczącego: nie chcę na niego głosować, ale będę musiał.

W powszechnym biadaniu, pomstowaniu na ciemny naród lub, dla odmiany, inteligentkim samobiczowaniu się, które to egzorcyzmy odprowadzają w czasopismach dziennikarzy, socjologów i inne, jak pisał Boy — „mężę co nacyceńsze”, rzeczywistością i precyzyjną analizą wyróżniał się artykuł Jacka Poprzeczki i Wiesława Władyki pt. „Co jest jeszcze do wygrania” (*Polityka* nr 48). Przyjmując, iż zwycięstwo Wałęsy w II turze nie ulega wątpliwości, autorzy konkludują: „niechże więc ta ekipa, która się wyłoni (...) pokaże co potrafi. Że zdolna jest mianowicie do realizowania celów nadrzędnych właśnie, a nie swoich własnych. Szansa, że tak się stanie, bierze się między innymi stąd, że nowa władza będzie się musiała liczyć z silną (...) opozycją, wywodzącą się z tego samego co ona pnia. A także z oporem społeczeństwa, które swoim szokującym postępowaniem w wyborach (...) zaświadczyło, że przeciwne jest sporom i grom o władzę, a chciałoby, by władza skoncentrowała się na gospodarczym głównie programie poprawy losu Polaków”.

Z problematyki politycznej odnotujemy jeszcze wywiad Marii Dłużewskiej z Kazimierzem Dzięwanowskim ambasadorem Polski w USA, jaki ukazał się we wspomnianym już wyżej numerze *Po prostu*. Mowa w nim o wielkiej polityce, o stosunkach z Polonią, ale także i o codziennych realiach pracy ambasady i jej szefa. Bardzo ciekawy tekst.

Tygodnik Powszechny przynosi 24 krótkie, filozoficzne wiersze — aforyzmy japońskich poetów ZEN w przekładzie Czesława Miłozza i z jego wstępem. Oto najkrótszy i najdłuższy z nich:

Gęsty śnieg
znika w morzu.
Jaka cisza!

Do czego porównam
ten tutaj świat?
Do księżycy odbitego
w kilku kropkach rosy
na trzepoczącym się skrzydle
wodnego ptaka.

„Raport o stanie wojennym” Marka Nowakowskiego należy do książek najgłośniejszych w całym dorobku literatury drugoobiegowej, ale też i do najbardziej kłopotliwych. (...) Lekturze towarzyszy coraz głębsze przekonanie, iż książka ta ani nie jest literacko udana, ani też, co najważniejsze, nie jest raportem o stanie wojennym” pisze Przemysław Czaplinski („Raport o katastrofie”, *Tygodnik Literacki* nr 11). Analizując utwór, który po przekładach na dziesięć języków został właśnie pierwszy raz wydany oficjalnie w kraju, Czaplinski wskazuje na przyczyny jego nikłej artystycznej i poznawczej wartości, kończy zaś pytaniem: „Czy nie zakrawa na ironię fakt, że jedyna tak znana książka, zatytułowana „Raport o stanie wojennym” nie jest raportem o stanie wojennym, a jedyna książka arcyrzetelnie relacjonująca wprowadzenie stanu wojennego, czyli „Noc generała Gabriela Meretika, nosi tytuł godny dobrej powieści sensacyjnej?”. W tym samym numerze warto zwrócić uwagę na bardzo obszerną rozmowę Romana Ludańskiego i Pawła Rodaka z Tadeuszem Nowakowskim, znanym emigracyjnym pisarzem i publicystą, długoletnim współpracownikiem Radia „Wolna Europa”. Szczególnie interesujące wydają się tu refleksje na temat stosunku intelektualisty emigracyjnego do kraju.

O warszawskim Muzeum Narodowym interesująco pisze *Przegląd Tygodniowy* (Tomasz Strachota: „Moc kropidła”). Ostatnio w Galerii Sztuki Średniowiecznej tegoż Muzeum nadano imię kardynała Wyszyńskiego, a poświęcenia dokonał prymas Glemp. W ten prosty sposób Muzeum ostatecznie zabezpieczyło się przed rewindykacyjnymi dążeniami różnych kościołów, głównie z terenów zachodnich, których zabytki po wojnie przejęło stołeczne Muzeum Narodowe. Największe pretensje zgłaszał kościół Mariacki z Gdańska. Przy okazji dowiadujemy się, że frekwencja w Muzeum spadła w ostatnim dziesięcioleciu o połowę (z 275 tys. w 1980 do 140 tys. w ubiegłym roku). T. Strachota przypomina również piękną postać doktora Bronisława Krystalla „który za 1000 dolarów zamówił u Karola Szymanowskiego kompozycję „Stabat Mater”. Dzięki temu żydowskiemu finansistce i mecenasowi kultury stworzono ponad stowybitnych dzieł polskiej sztuki, których powstanie zainspirował i opłacił. (...) W Galerii Sztuki Średniowiecznej im. Stefana Kardynała Wyszyńskiego wystawiona jest XV-wieczna Pieta ofiarowana przez Krystalla, który kolekcjonował również gotyckie madonny”

J.L.

CAMERA OBSCURA

Mumia Sokorskiego pojawiła się w telewizorze podczas „Interpelacji” ze Stefanem Kisielewskim, który z masochistyczną galanterią zaprosił do programu swego dawnego ciemiężcę. I trudno byłoby uwierzyć, że to żywa twarz czołowego terroretyka socrealizmu w stalinowskich latach, gdyby nie poruszenie warg przy soczystym słowie: „...syny”, pod adresem, jak się zdaje, byłych towarzyszy weterana, słowie tak narodowym w formie a socjalistycznym w treści.

Tu i ówdzie napotykamy w prawie na niefortunnie użyte skrót. Na przykład co oznacza skrót RP? Otóż oznacza on Radę Pracowniczą... Może

2 jednak, wbrew polskiemu nadmiernej.

oszczędności miejsca, zarezerwujemy ten skrót dla Rzeczypospolitej Polskiej?

Na drzwiach popularnej krakowskiej księgarni „Orlando” przy Placu Wszystkich Świętych (dawniej Wiosny Ludów) pojawił się napis flamastrem: „Sympatyków ruchów ROAD i POROZUMIENIA CENTRUM prosimy o nie bicie się w sklepie”.

Donosimy uprzejmie, że wspaniała jedność kabaretu „Piwnica pod Baranami” uległa zachwianiu, wskutek kampanii prezydenckiej. Do kabaretu także dotarły podziały na zwolenników różnych kandydatów. Piotr Słazyński, Anna Szatapak — za Mazowieckim, Leszek Wójto-

wicz, Janina Garycka, Aleksandra Maurer — za Wałęsą, za Tymirskim — nikt! Mamy nadzieję, że te podziały będą służyć dalszemu twórczemu rozwojowi „Piwnicy” i nie doprowadzą do jej upadku. Podobno głównie po to je wymyślono: aby rozkwitło sto kwiatów pluralizmu.

Wybiny polski intelektualista, pan Z. pojawił się po raz pierwszy w telewizji i mówił mądrze, jak przystało na intelektualistę, ale... Włączał różne terminy i zaspakajał nimi potrzeby naszych uszu. Przywykliśmy, że politycy i mężowie stanu w tej części Europy mówią paskudnie, zachwaszczają mowę i fatalnie rozkładają akcenty. Trwa to już prawie 50 lat i przejście z PRL-u do Rzeczypospolitej w tej akurat dziedzinie

niewiele zmieniła. Politycy politykami, lecz od intelektualistów mamy prawo wymagać. Prosimy w przyszłości włączać samokontrolę i zaspokoić nasze gusty.

Octavio Paz

Obrona miłości

W naszym świecie miłość jest doznaniem prawie niedostępnym. Wszystko jest jej przeciwne: moralność, klasy, prawa, rasy i sami zakochani. Kobieta zawsze była dla mężczyzny „czymś innym”, jego przeciwieństwem i dopełnieniem. Jeżeli część naszej istoty pragnie się z nią złączyć, druga część nie mniej władczo odsuwa ją i wyłącza. Kobieta jest przedmiotem na przemian drogocennym albo szkodliwym, ale zawsze odrębnym. Zmieniając ją w przedmiot, w istotę osobną i poddając ją wszelakim deformacjom, jakie dyktują jej zainteresowanie, jej próżność, niepokój i miłość własną, mężczyzna przekształca ją w narzędzie. Jako środek do osiągnięcia poznania i przyjemności, sposób na zapewnienie ciągłości życia, kobieta jest idolem, boginią, matką, czarodziejką lub muzą, jak wykazuje Simone de Beauvoir, ale nigdy nie może być sobą. Tak więc, nasze stosunki erotyczne będą zniekształcone już w swym początku, splamione w swoim źródle. Między kobietą a nami staje widmo: widmo jej obrazu, tego obrazu, jaki my sobie stwarzamy i w który ona się przebiera. Nie możemy nawet dotknąć jej jako ciała nieświadomego siebie, gdyż między nami a nią przemyka się ta uległa i służalcza wizja oddającego się ciała. I z kobietą dzieje się to samo: nie czuje ani nie pojmuje siebie inaczej, jak tylko jako przedmiot, jako „coś innego”. Nigdy nie jest władczynią siebie. Jej istota dzieli się na to, czym jest rzeczywistość i na wyobrażenie, jakie ma o sobie. Wyobrażenie, które zostało jej podyktowane przez rodzinę, klasę, szkołę, przyjaciółki, religię i kochanka. Jej kobiecość nie przejawia się nigdy, ponieważ wyraża się w formach wymyślonych przez mężczyznę. Miłość nie jest aktem naturalnym. Jest czymś ludzkim i, zgodnie z definicją, tym co najbardziej ludzkie, to znaczy wytworem, czymś, co stworzyliśmy i co nie występuje w przyrodzie. Czymś, co robimy codziennie i codziennie niszczy.

Przeszkody, jakie stają pomiędzy miłością a nami nie są jedynymi. Miłość jest wyborem. Wolnym wyborem, być może, naszego przeznaczenia, nagłym odkryciem najtajniejszej strony naszej istoty. Ale wybór miłosny jest niemożliwy w naszym społeczeństwie. Już Breton mówił w jednej ze swoich najpiękniejszych książek — „Szalona miłość” — że dwa zakazy uniemożliwiły już od chwili narodzin wybór miłosny: zakaz społeczny i chrześcijańskie pojęcie grzechu. Aby się urzeczywistnić, miłość musi złamać prawo świata. W naszych czasach miłość jest skandalem i zamętem, wykreśleniem: czymś na podobieństwo dwu wiazd, które łamią swoje wyznaczone orbity i spotykają się w połowie drogi. Romantyczne pojęcie miłości, w którym mieści się zerwanie i katastrofa, jest jedynym, jakie znamy, gdyż wszystko w społeczeństwie przeszkadza, by miłość była wolnym wyborem.

Kobieta żyje uwięziona w obrazie, jaki jej narzuca męska społeczność; może zatem wybierać jedynie zrywając z samym sobą. „Miłość ją zmieniła, uczyniła inną osobą”, mówi się zwykle o zakochanych kobietach. I to jest prawda: miłość zmienia kobietę, gdyż jeżeli odważa się kochać, wybierać, jeżeli odważa się być sobą, musi przelamać ten obraz, w jakim świat więzi jej istotę.

Mężczyzna również nie może wybierać. Krąg jego możliwości jest bardzo ograniczony. Jako dziecko odkrywa kobiecość w matce albo w siostrach. I od tej chwili miłość utożsamia się z zakazem. Nasz erotyzm uwarunkowany jest przerażeniem i atrakcją kazirodztwa. Z drugiej strony, życie współczesne pobudza niepotrzebnie naszą zmysłowość, a równocześnie zabrania jej szeregiem zakazów — klasowych, moralnych, a nawet higienicznych. Wina jest bodźcem i hamulcem pożądania. Wszystko ogranicza nasz wybór. Jesteśmy zmuszeni podporządkować nasze najgłębsze zamilowania obrazowi kobiety, jaki nam narzuca krąg społeczny. Trudno jest kochać osoby innej rasy, innego języka czy innej klasy, aczkolwiek jest możliwe, by człowiek biały wolał Murzynki, a te z kolei Chińczyków, czy żeby pan zakochał się w swojej służącej lub na odwrót. Podobne możliwości zmuszają nas jednak do rumieńców. Niezdolni do wyboru, dobieramy sobie żonę spośród kobiet, które nam „odpowiadają”. Nie przyznajemy się nigdy, że połączyliśmy się — czasem na zawsze — z kobietą, której może nie kochamy, i która, choćby nas kochała, niezdolna jest do wyjścia z siebie i pokazania się taką, jaką jest. Zdanie Swanna: „pomyśleć, że straciłem najlepsze lata mojego życia z kobietą, która nie była w moim typie”, może powtórzyć w chwili swojej śmierci większość współczesnych mężczyzn. A także i kobiet.

Spółczesność pojmuje miłość, wbrew naturze tego uczucia, jako związek stały i mający na celu płodzenie dzieci. Utożsamia ją z małżeństwem. Wszelkie przekroczenie tej zasady karane jest sankcją, której surowość jest różna w zależności od czasu i przestrzeni. (U nas ta sankcja jest bardzo często śmiertelna — jeżeli naruszającą prawo jest kobieta — gdyż w Meksyku, jak we wszystkich krajach hiszpańskich, istnieją przy ogólnym pokłasku dwie moralności panów i moralność reszty: biednych, kobiet i dzieci). Ochrona udzielana małżeństwu byłaby usprawiedliwiona, gdyby społeczeństwo pozwalało rzeczywistości na wybór. Ponieważ tego nie robi, należy przyjąć, że małżeństwo nie stanowi najwyższego urzeczywistnienia miłości, lecz że jest formą prawną, społeczną i gospodarczą, mającą cele inne niż miłość. Trwałość rodziny opiera się na małżeństwie, które przekształca się w prawdziwą projekcję społeczeństwa, mającą na celu tylko odradzanie samej społeczności. Stąd głęboko konserwatywny charakter małżeństwa. Zwalczanie go

oznacza kruszenie samych podstaw społecznych. I stąd miłość jest, choć tego nie zamierza, aktem antyspołecznym, gdyż zawsze, kiedy się urzeczywistnia, narusza małżeństwo i przekształca je w to, czym społeczeństwo nie chce, by ono było: ujawnieniem dwóch samotności, które same przez się tworzą świat rozbijający społeczne kłamstwo, obalający czas i pracę, i objawiający się jako samowystarczalny. Nie jest więc rzeczą dziwną, że społeczeństwo tępi z równą zacieklnością miłość, co i poezję, która jest jej świadectwem, i spycha je do podziemia, poza margines, w męty i niewyraźny świat tego, co zakazane, śmieszne i anormalne. I również nie jest rzeczą dziwną, że miłość i poezja wybuchają formami zadziwiającymi i czystymi: jako obrazem, zbrodnią, poematem.

Obrona małżeństwa implikuje prześladowanie miłości i tolerancję prostytucji, jeżeli nie oficjalne jej utrzymywanie. I nie przestaje być odkrywczą dwuznaczność prostytutki: istota uświęcona wśród niektórych ludów, dla nas jest istotą na przemian godną pogardy i pożądania. Karykatura miłości, ofiarą miłości, prostytutka jest symbolem sił, którym pogardza świat. Ale nie wystarcza nam to zakłamanie miłości, jakie zawiera istnienie prostytucji; w pewnych kręgach rozluźniają się więzy czyniące małżeństwo nietykalnym i zaczyna panować rozpętnienie. Przechodzenie z łóżka do łóżka to już nawet nie rozpusta. Uwodziciel, mężczyzna zapatrzony w siebie, ponieważ kobieta jest zawsze narzędziem jego próżności lub niepokojem, zmienił się już w postać z przeszłości, niczym wędrowny rycerz. Nie można już nikogo uwodzić, tak samo jak nie ma już dziewic, które by trzeba osłaniać, czy zniewag, które by wymagały pomsty. Współczesny erotyzm ma inne znaczenie niż erotyzm Sade'a, na przykład. Sade był temperamentem tragicznym, opętany przez absolut; jego dzieło jest wybuchowym odkryciem kondycji ludzkiej. Nie ma nic bardziej beznadziejnego niż bohater Sade'a. Współczesny erotyzm jest prawie zawsze retoryką, ćwiczeniem literackim i przyjemnością. Nie jest odkryciem człowieka, lecz jeszcze jednym dokumentem na temat społeczeństwa, które podsyca zbrodnie, a potem miłość. Wolność namiętności? Rozwód przestał być podbojem. Chodzi nie tyle o ułatwienie anulowania ustanowionych już związków, co o pozwolenie, aby mężczyźni i kobiety mogli swobodnie wybierać. W idealnym społeczeństwie jedynym powodem rozwodu byłoby zniknięcie miłości lub pojawienie się miłości nowej. W społeczeństwie, w którym wszyscy mogliby wybierać, rozwód byłby anachronizmem lub rzadkością, podobnie jak prostytucja, rozpusta czy cudzołóstwo.

Spółczesność udaje, że jest całością, która żyje dzięki sobie i dla siebie. Ale jeżeli społeczeństwo pojmuje się jako niepodzielną jedność, w swoim wnętrzu rozdarte jest ono przez dualizm, który być może bierze swój początek w chwili, kiedy człowiek oddziela się od świata zwierzęcego i, posługując się swymi rękami, wymyśla samego siebie oraz świadomość i moralność. Spółczesność jest organizmem, który cierpi na dziwną konieczność usprawiedliwiania swoich celów i pragnień. Czasami cele społeczeństwa, zamaskowane zasadami panującej moralności, zgodne są z pragnieniami i potrzebami ludzi, którzy to społeczeństwo stanowią. Czasami są sprzeczne z dążeniami pewnych grup. Nie jest rzadkością, iż przeczą najgłębszym instynktom człowieka. Kiedy zdarza się to ostatnie, społeczeństwo przeżywa okres kryzysu: wybuchu lub zatrzymuje się. Jego składniki przestają być ludźmi i przekształcają się w zwyczajne bezduszne narzędzia.

Dualizm, nierozdzielnie związany z każdym społeczeństwem, który każde społeczeństwo stara się pokonać przekształcając się we wspólnotę, w naszych czasach wyraża się pod różnymi postaciami: dobre i złe, dozwolone i zakazane; idealne, racjonalne i irracjonalne; piękne i brzydkie; sen i czuwanie, biedni, bogaci, burżuazja i proletariatus; nieświadomość i świadomość, wyobraźnia i myśl. Niepowstrzymanym ruchem własnego istnienia społeczeństwo dąży do przewyciężenia tego dualizmu i do przekształcenia zespołu pojedynczych przeciwieństw, które je tworzą, w harmonijny porządek. Ale współczesne społeczeństwo stara się rozwiązać swój dualizm poprzez zniesienie tej dialektyki samotności, która czyni możliwą miłość. Społeczeństwa przemysłowe — niezależnie od różnic „ideologicznych”, politycznych czy ekonomicznych — usiłują przekształcić różnice jakościowe, to znaczy ludzkie, w ilościową jednorodność. Metody masowej produkcji stosuje się także do moralności, sztuki i uczuć. Zniesienie sprzeczności i wyjątków... Zamykają się w ten sposób możliwości dostępu do najgłębszego doświadczenia, jakie życie daje człowiekowi, a które to doświadczenie polega na wnikanii w rzeczywistość jako całość, gdzie godzą się przeciwieństwa. Nowe siły znoszą samotność mocą rozporządzenia. A wraz z nią miłość, zakonspirowaną i bohaterską formę komunii. Obrona miłości zawsze była działaniem antyspołecznym i niebezpiecznym. A obecnie zaczyna być czymś prawdziwie rewolucyjnym. Sytuacja miłości w naszych czasach wykazuje, jak dialektyka samotności, w swoim najgłębszym przejawie, zmierza ku upadkowi za sprawą samego społeczeństwa. Nasze życie społeczne prawie zawsze neguje wszelką możliwość autentycznej komunii erotycznej.

Przełożył Jan Zych.

Andrzej Nowak

OCTAVIO PAZ

/zarys biografii/

Urodził się w roku 1914. Krytycy literatury iberoamerykańskiej zaliczają go do tzw. generacji „Taller” („Warsztat”, 1938—1940), w skład której wchodziło również dwaj inni znani poeci meksykańscy, Efraim Huerta i Nestali Beltran. Początkowo Octavio Paz angażował się w sprawy polityki (wojna domowa w Hiszpanii, pokłosie rewolucji meksykańskiej). Uważał, iż dla niego, jako poety świadomego siebie, a zarazem ukształtowanego w świadomości własnego narodu,

pisanie wierszy jest swego rodzaju działalnością rewolucyjną. Z czasem jednak odkrył, iż o wiele bardziej pociąga go problem wolności osobistej i twórczych możliwości słowa.

W istocie rzeczy, ocierając się o surrealizm, marksizm, idealizm, egzystencjalizm, strukturalizm, a nawet buddyzm, poeta nie zakorzenił się na dobre w żadnym „izmie”. Jest twórcą na wskroś oryginalnym. Jego utwory poetyckie odzwierciedlają sprzeczności i konflikty naszej epoki, zawarte — jak twierdzi latynoski krytyk E.A. Imbert — „między nadzieją i rozpaczą, samotnością i wspólnotą, naiwnością i wiedzą, milczeniem i dźwiękiem, Zachodem i Wschodem, językiem jako ener-

gią indywidualną i językiem jako strukturą zbiorową”. Cechuje go specyficzna „świadomość poezji i poezja świadomości”.

W swym dorobku Octavio Paz posiada wiele tomów poetyckich, z których godzi się wymienić „Libertad bajo palabra” [1949], „Los signos en rotación” [1965], „La Nueva Antología” [1967], „Topoemas” [1968], „Ladera Este” [1969], czy wiele innych. Warto jednak również nadmienić, że obecny laureat Nagrody Nobla uprawia również krytykę literacką, a jednym z najwybitniejszych przejawów współpracy Paza — krytyka z Pazem — poetą jest właśnie tom esejsów „Labirint samotności”, który po raz pierwszy ukazał się w wydaniu książ-

kowym w roku 1950 i który już niebawem ujrzy światło dnia w wolnej od ingerencji cenzury wersji polskiej, nakładem Wydawnictwa Literackiego.

„Labirint samotności” zawiera cykl szkiców poety, będących już obecnie klasyczną pozycją tego gatunku w literaturze światowej. Octavio Paz poddaje tu błyskotliwej wivisekcji szereg postaw, mitów, cech i kompleksów współczesnych Meksykanów, szukając źródła zjawisk częstokroć w epoce prekolumbijskiej i kolonialnej, wskazując zarazem przypuszczalne drogi wyjścia z „labiryntu osamotnienia”. Lecz skądinąd zdaje sobie również sprawę z ponadmeksykańskiego i ponadlatynoskiego charakteru swoich

rozważań. Wszak poczucie samotności, oderwania od świata i obcości samemu sobie nie jest czymś charakterystycznym wyłącznie dla Meksykanów.

„Wszyscy ludzie — twierdzi poeta — w jakiejś chwili swego życia czują się samotni, więcej: wszyscy ludzie po prostu są samotni. Żyć — znaczy oddzielać się od tego człowieka, którym byliśmy, aby się wglębiać w tego, którym będziemy”. W kogoś zawsze obcego.

I w tym właśnie wyraża się uniwersalizm przemyśleń Octavio Paza — poety, filozofa, moralisty.

W POSZUKIWANIU EUROPY

Maria Delaperriere

Oczywiście nasuwa się natychmiast pytanie czy na miejsce Galla dałoby się postawić na przykład Słowianina i odpowiedź nie będzie łatwa, jeśli przyjmemy, że asymilacja kultury helleńsko-lacińskiej i judeo-chrześcijańskiej nie może jeszcze zagwarantować europejskości, ponieważ sama świadomość europejska, aczkolwiek odwołuje się do stałych źródeł kulturowych, ulega przecież coraz to nowym naświetlaniom, które narzuca jej dynamizm dziejów.

Stąd niezwykle skomplikowany stosunek Polski do Europy, który można by schematycznie podzielić na trzy odrębne fazy: fazę romantyczną, w której Polska zostaje zepchnięta poza nawias Europy historycznej, co wpłynie na zupełnie specyficzne (nie spotykane w żadnym innym uciemnionym kraju europejskim) rozwinięcie idei mesjanistycznych: w oparciu o biblijne pojęcie *ludu wybranego* i *Golgoty* Polska pretendować będzie do roli symbolicznego centrum Europy duchowej (szczególnie wyraźnego u Norwida).

Drużga faza to dwudziestolecie międzywojenne: odzyskanie wolności powoduje euforyjną pogoń za Zachodem utożsamionym z Europą, aczkolwiek sama Europa przeżywa już wtedy kryzys duchowy skryzalizowany wyraźnie w wypowiedziach Spenglera (*Zmierzch Zachodu*, 1916—1920), Jaspersa (*Sytuacja duchowa naszej epoki*, 1931), Manna (*Ostrzeżenie Europy*, 1937).

Wreszcie faza trzecia współczesna, kiedy to Polska znów odsunie się od Europy, by tym razem dzielić losy wszelkich krajów bloku wschodniego. Ta faza będzie nas tu interesować szczególnie.

Szok wywołany zepchnięciem Polski w totalitaryzm był tak silny, że spowodował zbiorową amnezję stępującą wrażliwość między innymi i na europejskość. Historycy definiują komunistyczne półwiecze jako okres zatrzymania się czasu: dla krajów bloku wschodniego Europa na nowo staje się wtedy mitem. Tym razem jednak chodzi o mit rozbity, który już się nie odwołuje do zbiorowości (jak w romantyzmie). Pamięć o Europie zostaje jakby przepuszczona przez pryzmat indywidualnej świadomości. Jest to szczególnie widoczne w literaturze, gdzie można zaobserwować ciekawe zjawisko *uwewnętrznienia* obrazu Europy. Występuje ono przede wszystkim u pisarzy emigracyjnych, których interesuje już nie tyle sama Europa (zbyt nieosiągalna) ile europejskość przeżywana jednostkowo, przybierająca wyraz mniejszego lub większego poczucia rozdwojenia osobowości między tym co rodzime a tym co obce. Stąd tak liczne powroty w przeszłość, genealogiczne poszukiwania tożsamości, będące zarówno wyrazem polskich kompleksów jak i próbą przezwyciężenia poprzez afirmację własnej europejskości, najczęściej zdegradowanej i rozczarowanej.

Jest rzeczą zrozumiałą, że topos Europejczyka ze Wschodu, odizolowanego i napatykającego na obojętność Europy Zachodniej, osadzony był dotąd silnie w kontekście politycznym, co dodawało mu swoistej dramatycznej wymowy. Za przykład charakterystyczny może tu posłużyć monolog narratora z *Kompleksu polskiego* Konwickiego:

„Ja jestem indywiduum, którego nie rozumieją bliźni z nad Tybru, Sekwany czy Hudsonu. Niby pojmują moje przetłumaczone wiernie zdania główne oraz poboczne, niby łapią sens metafor i migotliwość nastrojów, ale nie potrafią współczuć mojej doli ani ogarnąć bezsensu mojego sensu, który wydaje się im nierzeczywisty, obcy, pozbawiony motywacji, a więc zupełnie niezrozumiały. Nie rozumieją mnie, bo jestem Polakiem, bo należę do zbiorowości rozsiadłej wzdłuż rzeki Wisły, albo raczej rojącej się zborowości wokół szeregowej rzeki europejskiej. A los tego stadka istot rozumnych koczujących nad dziką rzeką, choć mieszczący się w normach i prawach biologicznych ziemi, jest losem pokrętnym, losem skomplikowanym, losem wynaturzonym jak każde nieszczęście”.

Epizod Konwickiego kończy się orwellowską wizją zalania Zachodu przez komunizm jako jedyne go możliwego rewanzu (tekst ukazał się w 1977 roku), którego może oczekiwać niezrozumiały mieszkaniac Wschodu.

Jest to bardzo gorzki tekst, jak gorzka była cała literatura dysydencka, której wybaczyć się jaskrawy patos, gdy stawał się on wyrazem dysydenckiej odwagi. Czy należy jednak wnioskować, że *Kompleks polski* lub *Mala Apokalipsa* są jedynie świadectwem nieszczęsnej koniunktury i że z chwilą gdy ona się zmienia i one tracą aktualność? Pytanie to stawia się zazwyczaj każdej literaturze zaangażowanej i na pewno za wcześniej jeszcze na odpowiedź. Niemniej warto przypomnieć, że topos podziału Europy na Wschód i Zachód sięga znacznie głębiej pod powierzchnię politycznej dwudziestoletniej koniunktury: widać to wyraźnie na przykład u Kundery, który pisząc o rozdziale Europy powołał się nie tylko na współczesną mu sytuację, ale na historyczne różnice oddzielające Europę zwycięzców o silnych granicach i państwie — od Europy zwyciężonych, o granicach chwiejnych i najczęściej pozbawionych własnego aparatu państwowego. Ale tego typu wypowiedzi można znaleźć już dużo wcześniej, na przykład u Conrada (*W oczach Zachodu*, 1911) wypowiadającego się dobitnie na temat zakorzenionego bardzo głęboko braku zrozumienia między Zachodem i Wschodem (powołał się na niego Hannah Arendt), a gdyby cofnąć się dalej odnajdziemy już pierwsze akcenty nie tylko w polskim romantyzmie (u Mickiewicza i Norwida), ale także w innych literaturach niedowartościowanych, na przykład węgierskiej (u poety Sandora Petőfi) lub greckiej (zwłaszcza u prozaików końca XIX wieku, Papadiamantista i Eftaliotisa).

Świadomość europejska bowiem, od chwili pełnego wykrystalizowania się, tzn. od Rewolucji Francuskiej, funkcjonowała dialektycznie: Europa była metoniimią najwyższych ogólnoludzkich wartości i zarazem terenem, gdzie te wartości, w momencie gdy zostały w pełni uświadomione zaczęły się natychmiast zacierać. Z jednej strony rozwijała się idea przymierza ludów i jedności Europy, z drugiej gęstniała napięta sieć rozwijających się przerażających nacjonalizmów, z jednej — szczyt kultury, z drugiej — zmierzch cywilizacyjny.

I tu sięgamy podstawowej sprzeczności, na której zasadza się także cała polska świadomość europejska, która od początku oscylowała między fascynacją, poczuciem przynależności do Europy idealnej (opartej na wartościach chrześcijańskich), a obawą przed pędzącą naprzód cywilizacją zachodnią. Ale podział ten komplikuje się jeszcze w inny sposób: fascynacja Europą podsywa się kompleksem niższości, natomiast rozczarowanie cywilizacyjne daje raczej powód do pewnej wyższości. Wszystkie te niezwykle splecione antynomie kielkowały już w dziewiętnastym wieku i dały początek głębokiej refleksji nie tylko nad europejskością, ale ogólniej nad tym co

z jednej strony jednostkowe, partykularne i z drugiej, uniwersalne. Już Norwid wypowiada się na ten temat bardzo znamienne w *Rzecz o wolności słowa* (1869):

*„Oderwać się od siebie i wejść w siebie: słowem
Aby być narodowym, być nadnarodowym”*

Tu już dostrzegamy pierwsze próby pogodzenia partykularyzmu i uniwersalizmu, które w sto lat później najwyraźniej wystąpią u Gombrowicza:

„Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim, póki nie wyodrębnimy się z Europy — gdyż europejskość nie polega na zlanii się z Europą, lecz na tym aby być jej częścią składową — specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić. A także: tylko przeciwstawienie się Europie, która nas stworzyła, może sprawić, że staniemy się w końcu kimś...”

Niemniej, stać się kimś (jak słusznie przypomniał J. Błoński) zdaniem Gombrowicza, znaczy — uznać własną małość:

„Dążyłem do tego, żeby Polak mógł z dumą powiedzieć: należę do narodu podrzędnego. Z dumą. Albowiem, jak łatwo zauważyć, takie powiedzenie tyleż poniża, co wywyższa”

Akt afirmacji samego siebie, rozszerzenie osobowości, to swoista postawa nietzscheańska charakterystyczna przede wszystkim dla samego Gombrowicza parodiującego swe własne polskie urazy. Gombrowicza naśladować na pewno się nie da. Niemniej uświadomił on co światlejszym Polakom, że nie ujrzą oni własnego odbicia, jeśli brakować im będzie po temu pewnego dystansu. Wtedy dopiero przepaść dzieląca Zachód od Wschodu przestanie się sprowadzać do tradycyjnego wyrzutu wobec Zachodu, ale zmusi do zastanowienia się nad tym, dlaczego to co swojskie i własne nie może Zachodu zainteresować. To nowe spojrzenie pojawi się zwłaszcza w latach osiemdziesiątych po szoku stanu wojennego i efemerycznej nań reakcji Zachodu. Powstają wtedy kokietyjne portrety Polaków przeciętnych (pana Kazia w *Mieszaninach obyczajowych* Kuśniewicza i pana Marczyka w *Rozmowach polskich latem 1983*, którzy rewidują własny partykularyzm kulturowy). A oto przykład niekończących się dialogów Rymkiewicza:

„Wasza sytuacja jest marna, — stwierdza niejaka pani Żabka — bo jesteście od kilkuset lat wciśnięci pomiędzy dwa mocarstwa. Wasze położenie geograficzne też jest marnie, bo siedzicie w takim zakątku Europy, z którego niewiele widać. Dlatego właśnie nie jesteście w stanie dostrzec i zrozumieć prawdziwych problemów Europy i świata (...)”

Na to pan Marczyk: „(...) Może i my, siedzący w tym zakątku nie najlepiej jesteśmy widoczni, kiedy patrzy się w tę stronę z Paryża czy Waszyngtonu. Co nie zmienia faktu, że losy Europy jeśli nie świata rozstrzygają się właśnie tutaj (...)”

Na to pani Żabka: „Jesteście śmieszni z tym waszym mesjanistycznym przekonaniem, że macie obowiązek ocalenia Europy (...) Polacy są naprawdę okropnie anachroniczni”.

Na to pan Marczyk: „(...) Ale jacy mamy być, jeśli nasza sytuacja jest anachroniczna? Przecież jesteśmy w tym samym miejscu, w którym byli nasi dziewiętnastowieczni przodkowie (...)”

Podobnie jak „małość” u Gombrowicza anachronizm u Rymkiewicza pełni rolę filuternej rewolty przeciw narzuconym przez historię schematom. Antynomie europejskości i polskości przezwyciężają oni poprzez jej wyostrenie aż do paroksyzmu nieposklejanych sylogizmów, które prowadzą donikąd. Jest to konieczny etap *samopoznania* prowadzący do uświadomienia sobie paradoksów już nie tylko polskiej historii ale i polskiej historyczności, która spycha Polaków ze szlaku europejskiej ewolucji.

Antynomia i parodia to środki oczywiście radykalne narzucane z zewnątrz, będące porachunkiem bardziej z narodem niż z Europą. Ale tu ujawnia się nowy paradoks: historyczność może być zębna, ale może też być zbawcza, jeżeli łączy się z głębokim przeżyciem europejskiej kultury. Najsilniej zawierzy kulturze Miłosz. Wałory europejskie zakorzenione są u niego tak głęboko, że doświadczenie totalitaryzmu absolutnie nie prowadzi do oderwania się od nich, ale wprost przeciwnie: staje się dodatkowym źródłem empirycznie sprawdzonej gorzkiej mądrości. Kultura broni przed nihilizmem ponieważ pozwala Europejczykowi ze Wschodu uświadomić sobie istnienie dwu odrębnych czasów, czasu rzeczywistego i czasu kultury:

*„Czas dany mi do życia i czas inny
są w jego świadomości jak dwie linie
zamiast być jednym w harmonii”*

Oscylacja między czasem rzeczywistym, historycznym i czasem poetyckim, mitycznym przybiera najczęściej formę peregrynacji kulturowych. By lepiej zrozumieć ich znaczenie warto przypomnieć, że w antropologii wyobraźni przestrzeń rodzima (*sacrum*), której granice wyznaczone są poprzez rytuały, tradycje etniczne i religijne oddziela się od przestrzeni zewnętrznej (*ager incertus*), a między nimi rozciąga się przestrzeń peregrynacji (*ager peregrinus*) to znaczy strefa przejściowa. Otóż właśnie strefa peregrynacji zdaje się przyciągać polskich autorów (spotykamy ją u Miłosza, Kuśniewicza, Herberta, Vincenza, Gombrowicza, Wojciechowskiego, Paźniewskiego).

Nie należy jednak tego zjawiska tłumaczyć jako chęci przywłaszczenia sobie przestrzeni europejskiej w celu rewaloryzacji jej części wschodniej. Polskie poszukiwania Europy przeżywane indywidualnie symbolizują wyraźnie poszukiwanie własnej tożsamości w przestrzeni kulturowej mającej zasięg o wiele szerszy niż przestrzeń jednej specyficznej kultury etnicznej. Peregrynacja europejska nie jest podróżą ku przestrzeni nieznanej, ale przedstawia się jako poszukiwanie drugiej części samego siebie, które prowadzi Gombrowicza od *Ferdynurka* po *Trans-Atlantyk* lub Kuśniewicza, od rodzinnego Podola do symbolicznego Koryntu, a z kolei młody Tomasz z *Doliny Issy* nosić będzie przeczcucie europejskiej predestynacji, która spełni się w psychice narratora *Rodzinnej Europy*:

„Stopniowo jednak wrzesałem się troszczyć o całą mitologię wygnania, z tej strony i tamtej strony. Polska i Dordogne, Litwa i Sabaudia, uliczki Wilna i uliczki Quartier Latin zraszały się w jedno, nie byłem przecie nikim innym niż Grekiem, który przeniósł się z jednego do drugiego miasta. Rodzinna Europa przebywała we mnie ze swoimi górami, lasami i stolicami, i ta mapa uczuciowa przesłaniała zbyt doraźne kłopoty. Po kilku latach dążenia naprzód bez światła znów moja stopa dotknęła gruntu i odzyskałem zdolność do życia w teraz, w chwili, a w niej, przyszłość i przeszłość wzbogacały się nawzajem wyższe nad wszelkie możliwe Apokalipsy”.

Te rzadkie momenty prustowskie, w których krajobraz Dordogne nakłada się na lasy litewskie, nie prowadzą jednak, jakby się mogło zdawać, do autodelektacji kulturalnej, ale przeciwnie wyostwiają przez kontrast świadomość straconej harmonii współczesnego świata, gdzie z jednej strony wznosi się postać Wschodniego Europejczyka, „który rękę oparł na pismach Marksa, ale w domu czyta Ewangelię”, z drugiej zachodnia cywilizacja upodabnia się do rojowiska termitów.

Raz jeszcze wypada zapytać, czy jednak nie wystarczy głębokie poczucie europejskości by zasłużyć na miano Europejczyka? Pytanie to wylania się przede wszystkim w poezji, która z natury odrzuca uproszczoną wizję rzeczywistości zredukowanej do jej wymiarów geopolitycznych. Antidotum stają się mity śródziemnomorskie powracające u Jastruna, Iwaszkiewicza, Międzyrzeckiego i, najciekawiej, u Herberta, który udając się w podróż po Europie nie zapomina ani przez moment, że jest podróżnikiem przybywającym ze

Wschodu. By uprzedzić nieporozumienia przypisuje sobie z góry imię barbarzyńcy, co wyzwoli całą serię sytuacji paradoksalnych, bo ten barbarzyńca ze Wschodu okaże się w gruncie rzeczy człowiekiem wychowanym u źródeł kultury grecko-lacińskiej i judeo-chrześcijańskiej i każde spojrzenie rzucone na groty Lascaut, katedry gotyckie czy monasterium Emplariusza znajdzie w nim rezonans, jakby chodziło o powrót do wspomnień rodzinnych bynajmniej nie urojonych, ale głęboko przeżytych w przeszłości. Ale gdy stanie w Luvrze przed portretem Mony Lizy jego reakcja mało będzie przypominać reakcję turysty zachodniego

„No i jestem
Widzisz jestem
Nie miałem nadziei
ale jestem”

Z tych krótkich, tłumionych wzruszeniem zdań emanuje prawdziwy triumf (jest tutaj przeszedłszy „przez siedem gór granicznych, druty kolczaste rzek i rozstrzelane lasy”), ale równocześnie narrator nie może ukryć zawodu, który w nim budzi ta „Włoszka tłusta i niezbyt ładna” a będąca dla turysty ze Wschodu symbolem kultury uniwersalnej, ale abstrakcyjnej, ponieważ została ona wyrwana „z domu historii”. W swojej znakomitej analizie tego wiersza Barańczak kładzie nacisk na konfrontację przestrzeni dziedzictwa i wydziedziczenia: dziedzictwo odpowiadałoby rzeczywistości zachodniej a wydziedziczenie krajom wschodnim. Dziedzictwo przyzywa przeszłość, wydziedziczenie teraźniejszość. Dziedzictwo wreszcie odnosi się do mitu i sugeruje harmonię świata, wydziedziczenie natomiast zakłada cierpienie i odnosi się do rzeczywistości.

Między tymi dwoma biegunami Herbert umieści swojego osobliwego pana Cogito, którego narwana i cierpiąca świadomość przetrwać będzie europejskie mity i uniwersalne parable konfrontując je ze współczesnym światem „rozczerwanym”, w którym się one neutralizują i tracą sens. Jak Herbert dowcipnie zauważył, jest to świat pozbawiony węża dramatycznego. Jego Elektry i Orestesy żyją w spokoju spoglądając obojętnie na matki zdradzające mężów. Brak bowiem zakazów, więc brak i zbrodni...

Topos Europy rozczerwanej ma oczywiście swoje silne tradycje także i na Zachodzie (narastały one w ponurych wizjach Nietzschego, Spenglera, Manna przybierając nowe aspekty u Webera, Malraux, Lorenza). Ale współcześni Europejczycy ze Wschodu naznaczają go nowym piętnem pragmatyzmu powołując się na gorzką lekcję historii. Toteż u najwybitniejszych polskich pisarzy doświadczenie totalitarystyczne nie prowadzi bynajmniej do kompleksów i izolacji. Wschodni Europejczyk zdaje sobie sprawę, że został obdarzony smutną mądrością, której nie posiada Europejczyk zachodni i którą musi przekazać w swym ponadnarodowym przesłaniu.

Można by mnożyć przykłady. Tuż po wojnie Miłosz skieruje swe gorzkie przestrogi „na opak” właśnie do „Dziecięcia Europy”, a Gombrowicz wyciągnie nauki z ciężkiej mu polskości tworząc uniwersalną wykładnię „stosunków międzyludzkich” (*Ślub*) oraz zła historycznego (*Operetka*). Herbert natomiast wcielił się w pana Cogito, współczesnego Kandyda zdolnego podważać zastarzałe racje zarówno Wschodniego jak i Zachodniego Europejczyka. Troska o Europę przenika także twórczość Stanisława Vincenza. Kreuje on postać Sokratesa współczesnego, który przecież wydaje się zgoła tragiczniejszy niż Sokrates historyczny. Ten ostatni, jak słusznie zauważył de Rougemont popełni samobójstwo, by zaświadczyć o prawdzie i wyzwolić tym samym ludzkość od kłamstwa. Sokratesowi Vincenza pozostanie już tylko śmierć z chwilą, gdy uświadomi sobie, że jego przesłanie służy kłamcom. Trzeba było bardzo głęboko wniknąć w kulturę europejską, by przedstawić, jak to zrobił Vincenz, jej przerażający negatyw.

Chodzi tu oczywiście o tendencje uniwersalne. Nie negują one jednak tego co rodzime i partykularne. Stąd osobiwa odporność tej literatury zarówno na totalitarystyczne wpływy wschodnie jak i na zachodnią groźbę wyjałowienia cywilizacyjnego. U schyłku naszego wieku rysuje się szczególnie wyraźnie sylwetka Aleksandra Wata, którego wstrząsająca biografia stanowi dotkliwe świadectwo wieku obecnego i niesie przestrozę dla wieku przyszłego. Lekcja trudna i tym istotniejsza, że nie prowadzi bynajmniej do nihilizmu, ale wyraźnie mu przeczy w imię najgłębszych wartości europejskich.

c.d.n.

Leszek Elektorowicz Poza "ZLePem"

Porozwiązaniu Związku Literatów Polskich w r. 1983 i po odebraniu w tymże roku krakowskiemu środowisku literackiemu miesięcznika PISMO niezależni pisarze krakowscy, nie należący do nowo utworzonego związku o przywłaszczonej nazwie ZLP, znaleźli się bez lokalu, bez możliwości działania publicznego, które dawniej prowadzono m.in. w formie spotkań z czytelnikami czy na łamach miesięcznika. Wydziedziczeni w ten sposób przez władzę stanu wojennego prowadzącą neostalinowską politykę, poczuli pisarze szukać takich form działania i wypowiedzi, które dowiodły, że ogromna ich część zdecydowała się pozostać poza oficjalnymi strukturami życia literackiego.

W wyniku tej postawy duża część pisarzy bojkotując czasopisma państwowe znalazła miejsce na łamach prasy katolickiej, mimo jej szarych możliwości, tak co do objętości, jak i nieliterackiego w założeniu jej profilu, a także w prasie „drugiego” emigracyjnego obiegu. Zaś autentyczne życie literackie w postaci spotkań autorskich, dyskusyjnych wieczorów itp. przeniosło się do krakowskiego Klubu Inteligencji Katolickiej, w którym utworzono sekcję literacko-teatralną a także do duszpasterstw parafialnych.

Na wniosek sekcji, Zarząd KIK-u do którego wówczas wszedłem zainicjował cotygodniowe „Spotkania z literaturą”, odbywające się w środy i cieszące się dużą frekwencją. Bodaj największą z podobnych imprez w Krakowie. Przyczyną tej popularności była zapewne przyjęta przez organizatorów koncepcja w zasadzie nieograniczona, względami politycznej cenzury wnioski wypowiedzi i pełne swobody w doborze prelegentów szczególnie tych, któ-

rzy mieli zamkniętą drogę do publiczności i czytelników (słynna „czarna lista” towarzysza Molka).

Wydział Spraw Wewnętrznych nie zasypiał jednak gruszek w popiele. Domagał się od podległych mu instancji (także od Wydziału Kultury) raportów, dzięki którym dysponował listą najaktywniejszych w animowaniu niezależnej kultury członków KIK-u. Jeden z takich raportów dotarł do naszych rąk i wzbudził wiele wesołości przy czytaniu naszych nazwisk opatrzone odpowiednimi komentarzami.

Do najlepszych i najtłumniejszych spotkań należały wieczory autorskie *sp. Andrzeja Kijowskiego, sp. Kornela Filipowicza, Wiesławy Szymborskiej, Ewy Lipskiej, Jana Józefa Szczepańskiego, Andrzeja Szczypiorskiego, Macieja Szumowskiego* i innych oraz wieczory poświęcone pamięci zmarłych pisarzy, jak *sp. Hanny Malewskiej, Tomasza Gluzińskiego, Jerzego Kwiatkowskiego*.

Wkrótce jednak nie indywidualne wieczory autorskie, lecz zbiorowa impreza cykliczna typu mówionego miesięcznika „Na Głos” zyskała największą popularność i najliczniejszą widownię, złożoną — co nas najbardziej cieszyło — w dużej części z młodzieży uniwersyteckiej i licealnej.

Pomysł literackiej „mówionej gazety”, rzucony przez niżej podpisanego znalazł żywy odzew wśród działających w sekcji kolegów oraz sprawnego i ambitnego realizatora w osobie Bronisława Maja, naczelnego redaktora miesięcznika „Na Głos”, który w pierwszym okresie współredagował Włodzimierz Maciąg i Wiesław Paweł. Szymanski później zaś Jerzy Pilch i Marian Stala. Wśród autorów „Na Głosu” znaleźli się

obok wybitnych i znanych twórców z Krakowa, Warszawy i innych miast, także pisarze młodzi i debiutanci. Kilku z nich talenty swe potwierdziło w późniejszych publikacjach. Wszystkich, organizatorów jak i autorów KIK-owskich spotkał z publicznością łączyło jedno: opór przeciw narzuconemu społeczeństwu stanowi wojennemu i totalitaryzmowi. Dodajmy, że w imprezach tych uczestniczyli też deklarujący podobne stanowisko aktorzy scen krakowskich.

Wyrazem społecznego uznania dla „Na Głosu” była w r. 1985 zaszczytna nagroda „Solidarności” przyznana przez Komitet Kultury Niezależnej, za którą n.b. rychło wymierzono KIK-owi „karę” w postaci odebrania mu przez dwa lata dotacji Libelli na działalność klubową. Mimo to jednak toczyła się ona nieprzerwanie.

Przejawami aktywności krakowskiego środowiska literackiego były też dwa konkursy: pierwszy, ogólnopolski konkurs w dziedzinie „poezji, opowiadania i eseju”, zorganizowany przez KIK i wydawnictwo Znak, na który napłynęły setki utworów z całego kraju. Drugi konkurs na debiut poetycki zorganizowało Duszpasterstwo Środowisk Twórczych w Krakowie, przy parafii św. Szczepana. Zapisano ono odrębną ważną kartę kroniki życia kulturalnego Krakowa w okresie stanu wojennego. Prowadzone przez *ks. Franciszka Florczyka i Barbarę Czalczyńską*, gromadziło na swych imprezach w parafialnej kaplicy przykościelnej tłumną często publiczność. Organizowane przez Duszpasterstwo imprezy, prelekcje, dyskusje i wieczory autorskie obejmowały swą tematyką nie tylko literaturę, ale także plastykę i muzykę. Krakowskie środowisko literackie brało też czynny udział w impre-

zach kolejnych Tygodni Kultury Chrześcijańskiej. Szczególnie zbiorowe wieczory poezji w kościele OO Karmelitów „na Piasku” cieszyły się masową wręcz frekwencją.

Ale oprócz tego alternatywnego wobec ofert oficjalnych życia kulturalnego tętnił podziemny nurt literackiej działalności związkowej. Niewiele wie się o istnieniu w Krakowie podziemnego Związku Literatów Polskich w latach 1983-88, działającego pod kierownictwem *sp. Kornela Filipowicza* w porozumieniu z *Janem Józefem Szczepańskim*. Regularnie zbierał się Zarząd, zrazu w węższym gronie — *Kornel Filipowicz, Tadeusz Chrzastowski, Leszek Elektorowicz, Włodzimierz Maciąg, Wiesław P. Szymański, Kazimierz Traciewicz* — z czasem poszerzony o *Barbarę Czalczyńską, Ewę Lipską, Wiesławę Szymborską, Teresę Walas, Martę Wykę, Leszka A. Moczulskiego, Jerzego Pilcha i Marka Skwarnickiego*. Mniej więcej raz w roku odbywały się ogólnopolskie zjazdy przedstawicieli środowisk literackich, których spiritus movens był *Kazimierz Traciewicz*. Dwa pierwszymi spotkaniami, mającym charakter „dnia skupienia”, gościny udzieliło opactwo tynieckie. Przedstawiciele środowiska Warszawy, Poznań, Wrocławia, Gdańska, Szczecina, Torunia dzielili się swymi doświadczeniami i opiniami na temat stanu literatury w okresie „wojny polsko-jaruzelskiej”. Były referaty, dyskusje.

W tych wieloosobowych zjazdach tkwiło niewątpliwie ryzyko dekonspiracji. Zarówno te dwa spotkania, jak i następne w bibliotece OO Karmelitów „na Piasku” odbyły się bez zakłóceń. Kolejne, które miało miejsce w Poznaniu, w prywatnym mieszkaniu *kol. Jerzego Korczaka* zostało brutalnie prze-

rwane interwencją milicji. Skończyło się na legitymowaniu obecnych, przesłuchaniach, pogróżkach. A jednak fakt, że zebranie w prywatnym mieszkaniu, choćby brało w nim udział ponad dziesięć osób rozmawiających o literaturze, mogło zostać zakłócone najściem służb porządkowych — było oburzające i świadczyło o atmosferze panującej w okresie generalsko-ubeckich rządów. Ostatnie spotkanie mające się odbyć w Tyńcu nie doszło do skutku. Udaremniła je całkowicie milicja rozsyłając na wyznaczoną dla niego godzinę wezwania na Mogiłą dla przewidywanych uczestników konferencji. Przybyście z innych miast zostali na czas uprzedzeni.

Tymczasem Zarząd krakowski działał regularnie, przydzielając stypendia i zapomogi, których szafarzem była komisja w osobach *T. Chrzastowskiego, K. Filipowicza* i *K. Traciewicza*, a także — przyjmując nowych członków. Odbywało się to uroczystość, ale i familiarnie, przy kawie, ciastkach i kieliszku wina, po wprowadzeniu nowego członka przez dwu starszych kolegów, w obecności i z błogosławieństwem „głównego” prezesa, *Jana Józefa Szczepańskiego*, a nieraz też *Wiesławy Szymborskiej*.

Młodszymi adeptami zajmował się fachowo i ofiarnie *Leszek A. Moczulski*. Wzruszająca też była troska o Młodych seniora, *Kornela Filipowicza*, który starał się dla nich o debiuty, udzielał im rad artystycznych i pomocy materialnej.

Przewodniczącymi Sekcji byli kolejno: *Bronisław Maj, Wojciech Ligęza, Jerzy Pilch, Marian Stala*.

Książki dobre, złe, najgorsze

Andrzej Nowakowski Zapach, miłość i ...

Łstotę współczesnego rynku księgarskiego w Polsce określa ekonomiczno-duchologiczny dylemat, który dotyczy zarówno wydawców, jak i czytelników. Rzecz sprowadza się do banalnego w gruncie rzeczy pytania: książka to tylko towar czy może coś więcej? Nowobogacy wydawcy „Maclinów”, „Urbanów”, „Gierków” i tzw. klasyki pornograficznej przyjęli prostą zasadę, że dobra książka to książka szybko i drogo sprzedająca się. Swego rodzaju etyczny komfort owych wydawców wynika ze słusznego być może założenia, że nie oni są odpowiedzialni za estetyczną i wszelką inną „indoktrynację” czytelnika; za to bowiem odpowiedzialny jest on sam. To wszystko nie dotyczy lub dotyczy w dużo mniejszym stopniu tych oficyn wydawniczych, którym tradycja i ambicja — nazwijmy je — kulturotwórcze nie pozwalają na drenowanie czytelnicych kieszeni rozmaitym dziadostwem i chłamek, choćby w najbardziej kolorowej obwołucie. Zarabiać jednak trzeba. Najlepiej w taki sposób, żeby pogodzić dbałość o wydawniczą cnotę z zaspokojeniem ludzycznych potrzeb każdego w miarę normalnego czytelnika. Książka Patricka Süskinda

pod „odpowiednim” tytułem *Pachnidło. Historia pewnego mordercy* jest przykładem takiego właśnie dzieła, które znakomicie łączy elementy wysokiej kultury literackiej z pierwiastkami poetyki prozy brukowej. Mniemam należy, iż jej narodzinom musiało towarzyszyć autorskie przecucie sukcesu. Nie bezpodstawnie! Dzieło Süskinda od momentu wydania w Szwajcarii w roku 1985 doczekało się tłumaczeń na ponad dwadzieścia języków, stając się klasycznym światowym bestsellerem, gwarantującym sukces finansowy każdemu nowemu wydawcy. *Pachnidło* jest debiutem powieściowym Süskinda. Nazwisko tego autora pojawiło się już w Polsce wcześniej z racji prezentowania w Teatrze Starym jego sztuki pt. *Kontrabasista*.

Na czym polega siła *Pachnidła*? Odpowiedź jest w tym przypadku wyjątkowo oczywista: siła ta polega przede wszystkim na samym pomysły fabularnym, który stanowi tu niejako wartość samą w sobie. Jest to historia człowieka, którego matka natura stworzyła jako geniusza powonienia. Nieprawdopodobna doskonałość tego zmysłu, który jest mu w stanie zastąpić wszelkie pozostałe,

określa sens jego egzystencji. Jako geniusz pragnie wykreować zapach, którego nawet Bóg nie był w stanie stworzyć — zapach miłości. Czy mu się to udaje i jaki jest finał jego poszukiwań — nie sposób tu wyjawiać. Kryminalny charakter wątku, narastające napięcie i niesamowite zakończenie powodują, że książkę czyta się tzw. jednym tchem. Sam pomysł fabularny *Pachnidła* to jednak zbyt mały zadatek na sukces. Może najbardziej pociągająca strona książki wynika z profesjonalizmu autora w znajomości... tajników technologii przemysłu perfumeryjnego. Mówiąc wprost: Süskind zna się na zapachach jak zawodowiec, który niejako mimochodem przekonuje, że produkcja zapachów jest zajęciem stokroć bardziej fascynującym np. alchemia dojrzwania win. *Pachnidło* pozbawione jest jakiegokolwiek dyletantyzmu w mówieniu o zapachach. Analityczna znajomość rzeczy u Süskinda pozwala mu na przekonujące budowanie sugestii, iż powonienie to zmysł najdoskonalszy. Symfonia zapachów Des Essaintes'a ze słynnego dzieła Huysmansa *Na wspan* jawi się — w zestawieniu została atmosfera bezsensownej w świadomości żołnierza wojny,

psychologicznych, nie zaś ideologicznych. Trudno powiedzieć, co ostatecznie zdecydowało o tym, że Rembek wydał w Polsce Ludowej jeszcze tylko dwie następne powieści („Wyrok na Franciszka Kłosa” i „Ballada o wzdraliwym wisielcu oraz dwie gawędy styczniowe”) i zajął się przekładami. Wolno jednak przypuszczać, że nie mógł się on odnaleźć w rzeczywistości, w której swoboda twórcza była krępowana odgórnymi dyrektywami.

O artystycznym sukcesie „Nagana” nie przesądziła ani wąta, chociaż nie pozbawiona intrygującej akcji, fabuła, ani nawet kreacja głównego bohatera, psychologicznie nie pogłębiona. W niezwykle sugestywny natomiast sposób odmalowana

podczas której życie ludzkie potaniało do tego stopnia, że już nawet śmierć towarzysza czy przyjaciela przestała robić większe wrażenie. Pozostały co prawda jeszcze ludzkie odruchy, ale nie potrafiły one zahamować bezmyślnego okrucieństwa. W takiej odczłowieczonej wojnie, w której decyduje liczebność wojska, jego uzbrojenie, fizyczna odporność, strategia dowódców, a także zwykły przypadek, nie ma miejsca na bohaterskie postawy i heroiczne gesty.

Ale nie wojna polsko—bolszewicka jest zasadniczym tematem powieści Rembeka, w każdym razie nie tylko wojna. Stanowi ona tło dla niezwykle istotnego, również z dzisiejszej perspektywy, problemu. W polskich warunkach cezura dwóch stuleci był dopiero rok 1918. Społeczeństwo polskie stanęło przed zupełnie innymi kłopotami niż dotychczas. Okazało się, że niektórzy z dawnych bojowników o niepodległość, wychowani w romantycznym kulcie rycerza, nie umieli odnaleźć się w nowej rzeczywistości, obawiali się, że staną się niepotrzebni. To ich właśnie symbolizuje bohater „Nagana”, podporucznik Konrad Pomianowski, należący do galerii postaci, które pojawiają się w prozie lat dwudziestych, choćby w głośnym wówczas „Romansie Teresy Hennert” Zofii Nałkowskiej. Jedną z bohaterek tej powieści, przedstawicielką młodej generacji, Wanda Hennertówna taką oto wypowiedzią kwestię:

„Do licha, jest już przecież Polska, to jedno jest pewne, że

jest. Nie taka, jakiejście pragnęli? No właśnie, jest taka, jaka może być. To jedynie jest ważne, to jedynie jest rzeczywiste — i to jest nawet cudowne! /.../ Jesteśmy wreszcie obywatelami jak wszyscy na świecie — odpowiedzialni, walczący, inni. Już nie ofiary tylko — już winowajcy”.

A podporucznik Pomianowski w rozmowie z jednym ze swoich żołnierzy zastanawia się: „...Dawny konflikt Zła z Dobrem zmienia się w wojnę regularną /.../ W dodatku niedługo zostanie zapewne zakończona równie regularnym i szablony pokojem. Co wtedy ze mną będzie? Na co ja będę wtedy potrzebny na świecie?”

Motywy samobójczej decyzji były więc nie tylko psychologicznej natury (miłosna tragedia). Dla bohatera koniec epoki utożsamianej z dziewiętnastym stuleciem, epoki idei, oznaczał koniec jego świata, świata jasno wytyczonych celów. Powieść Stanisława Rembeka w zakresie poruszonej problematyki, w umiejętności budowania sugestywnego nastroju melancholii i w pokazywaniu okrucieństwa bez granic przypomina znakomitą prozę Włodzimierza Odojewskiego. W tym upatruję jej atrakcyjność dla współczesnego czytelnika. Szczególnie właśnie dziś, gdy znajdujemy się znów na przelomie dwóch epok.

Stanisław Rembek: „Nagana”, postłowie Tomasz Burek, „Czytelnik” 1990

z *Pachnidłem* — jako przygrywka do wielkiego oratorium na cześć rzeczywistości odczuwanej nosem.

W warstwie kompozycyjnej *Pachnidło* jest sprawnie napisanym czytadłem, które konstruuje się w oparciu o oczywiste, znane od przynajmniej stu kilkudziesięciu lat prawa. Nie ma potrzeby tu o nich mówić; wszelako najistotniejsze z nich to „nie nudzić”. Wartka akcja, historyczne realia Francji przed wybuchem rewolucji, kryminalny wątek, gradacja napięcia i niepowtarzalny finał, a wszystko z myślą o tym, by czytelnika nie zmęczyć.

Czy *Pachnidło* reprezentuje coś więcej ponad oryginalny pomysł fabularny i sprawność literackiego rzemiosła? Oba-

wiam się, że nie. Traktowanie tej powieści jako głębokiej, nieledwie filozoficznej przypowieści o mizerii ludzkiej egzystencji, samotności ganiusza i jego moralnym wyobcowaniu — jest chyba nadużyciem. Zresztą czytanie *Pachnidła* jako powieści z filozoficznym kluczem byłoby oczywistą szkodą dla samej przyjemności lektury „lekkiej, łatwej i przyjemnej” — oraz o niebo bardziej wartościowej niż wspomniane powyżej „hity” bukinistycznej tandety.

„Czytelnik” zapowiada wydanie kolejnego bestselleru Patricka Süskinda pt. *Goląb*...

Patrick Süskind, *Pachnidło. Historia pewnego mordercy*, tłum. Małgorzata Łukasiewicz, Warszawa 1990, „Czytelnik”

Bogdan Rogatko Zmierzch epoki

W sytuacji, gdy na rynku wydawniczym rozpoczęło się poszukiwanie książek handlowych, wśród których zaczyna dominować tandeta i szmira, ambitny zamiar „Czytelnika” inicjującego serię prozy dwudziestolecia zasługuje na szczególne podkreślenie. Jako pierwszy tom serii ukazał się „Nagana” Stanisława Rembeka, pisarza, którego Tomasz Burek słusznie określił mianem pechowego. Na jego twórczej biografii odcisnęły się meandry polityki, utrudniając jej rozwój i niszcząc pisarski

talent. W dwudziestolecie jako autor dwóch powieści („Nagana” i „W polu”) z okresu wojny polsko—bolszewickiej był ostro krytykowany za deheroizację walki prowadzonej w obronie ledwo odzyskanej niepodległości, za defetyzm wręcz i fatalistyczne widzenie świata. Po wojnie natomiast te same powieści nie miały żadnych szans na wydanie ze względu na temat—tabu, mimo że obraz wojsk bolszewickich został maksymalnie zobiektywizowany, a okrucieństwo przedstawione w kategoriach

Czytadła

- Raymond Chandler, „Morderca w deszczu”, wydawnictwo GiG, 1990, cena 12,5 tys. zł
- Georges Simenon, „Chińskie cienie”, wydawnictwo 4&F, 1990, cena 9 tys. zł

Chandler w latach 50 i 60 był awangardą w gatunku powieści kryminalnej. Swoich bohaterów kreował podobnie jak modny wówczas Hemingway: samotny, silny mężczyzna, rozu-
6 mieniejący kobiety, ale

sam przez nie niezrozumiany, skazany na brak przyszłości. Taki typ prywatnego detektywa na długo zdominował powieść kryminalną, a także kino. Wspaniale wcielił się w niego Humphrey Bogart. Ale czasy silnych, samotnych mężczyzn minęły — ich miejsce zajął gadatliwy, słaby intelektualista, w stylu Woody Allena, który wprawdzie marzy, żeby być Bogartem, ale nigdy nim nie będzie. Wraz z przemianami mody na

chandlerowskiego bohatera starzeje się kryminał tego typu. „Morderca w deszczu” — cykl opowiadań — czyta się dobrze, ale bez szczególnej pasji.

To co ongiś uchodziło za awangardowe starzeje się o wiele szybciej, niż to co jest zawsze staroświeckie. Wygrawa w tej konkurencji klasyk francuski, Simenon. Gruby, stary i zawsze zmęczony komisarz Maigret nadal święci triumfy. Bohaterowie Chandle-

ra tropili zło w czystej postaci. Komisarz Maigret tropi nieszczęście, które doprowadza do zła. Ludzką biedę, ludzką słabość i małość charakteru, zawiści, zbyt duże ambicje, żądzę władzy. Jak długo będzie istnieć ludzkość —

zawsze towarzyszyć jej będą te cechy i zawsze komisarz Maigret będzie miał dużo roboty. Jego staroświeckie „kryminały” są w efekcie na miarę każdego czasu, w któ-

rym się je czyta. Nie starzeją się.

Recydywistka

JOHN BARRON KGB dzisiaj

Ukryta ręka II

Oto ciąg dalszy nie znanej w Polsce książki J. Barrona o KGB, przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Literackim. Tłumaczami jej są Barbara Sławomirska i Andrzej Nowak. Ta autentyczna historia sensacyjnością przewyższa największe dokonania i fikcyjne pomysły takich mistrzów „kryminału i sensacji” jak Robert Ludlum czy Frederic Forsyth.

Streszczenie odcinka pierwszego z poprzedniego numeru „Dekady”: do ambasady USA w Tokio zgłasza się Stanisław Lewczenko, oficjalnie tokijski korespondent radzieckiego pisma „Nowe Czasy” i ujawnia, że na prawdę jest majorem KGB. Prosi o udzielenie mu azylu politycznego w Stanach Zjednoczonych. Ambasada sprawdza jego tożsamość, wyraża zgodę i próbuje znaleźć sposób wywiezienia agenta z Japonii do USA.

Drugi Amerykanin wziął kluczyki od samochodu Lewczenki aby go jakoś ukryć, natomiast sam Lewczenko wymknął się wraz z Robertem bocznym wejściem. Odjeżdżając sprzed hotelu, Robert okrążył cały kwartał domów, przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle, a następnie zawrócił i zatrzymał wóz na parę minut u krawężnika, by móc sprawdzić, czy nikt ich nie ściga. Co parę przecnie skręcał gwałtownie w lewo albo w prawo, a czasami w ogóle zmieniał kierunek jazdy. Słowem, wykonywał wszystkie manewry, które wcześniej przedsięwziął Lewczenko.

— Kiedy mogą zdać sobie sprawę z pańskiej nieobecności? — zapytał po chwili.

— Nie jestem pewien, ale chyba nie wcześniej niż rano. Zazwyczaj wracam do domu bardzo późno, więc żona nie powinna się martwić. Zdarza się jednak, że Rezydencja telefonuje w samym środku nocy.

— A jeśli pańska żona się zbudzi i stwierdzi, że pana nie ma, czy zatelefonuje wówczas do Rezydencji?

— Prawdopodobnie nie.

— O której godzinie chodzi pan zazwyczaj do Rezydencji?

— Jeśli się tam udaję, robię to pomiędzy dziesiątą a jedenastą.

— Do tej pory powinniśmy już odlecieć.

Zaparkowali w jakiejś modnej dzielnicy, a potem przeszli pieszo do dużego domu, który od ulicy oddzielał francuski ogród. Jakaś Amerykanka, przedstawiona tylko jako „nasza przyjaciółka”, podjęła ich koniakiem i zaproponowała obiad. Zjawił się też Amerykanin, który wcześniej miał ukryć samochód Lewczenki; teraz odebrał od niego sowiecki paszport i zapewnił Roberta, że nikt za nimi nie jechał.

Nie mógł już prosić o więcej niż to wszystko, co dlań do tej pory zrobiono. Amerykanie przyjęli go sprawnie, jak dobrzy zawodowcy, a fakt, iż tak szybko uzyskali z Waszyngtonu gwarancję azylu, zadziwił go. Jednakże w dalszym ciągu znajdował się jeszcze w zasięgu możliwych oddziaływań KGB. Próbując zasnąć, miotał się w łóżku prześladowany koszmarnymi wizjami. Przeczynał, jakie kroki podejmie Rezydencja i sam Pronnikow: akcję całego sowieckiego aparatu propagandy, postawionego w stan gotowości, aby skłonić Japończyków do wydobycia go od Amerykanów. Przeczynał reakcję Breżniewa, komunikującego się bezpośrednio z Carterem i składającego oświadczenie, iż przyszłe stosunki radziecko-amerykańskie zależą od wydania zbiega, a także zabiegi podjęte przez cały szereg innych wpływowych instytucji sowieckich. A wszystko to z powodu jednego faceta, który wiedział tak wiele.

Zaniechawszy dalszych prób zaśnięcia, usiadł na skraju łóżka i poczuł, że chwytają go torsje. Robert również nie spał i bardzo często komunikował się przez telefon szyfrem z ambasadą. Około trzeciej nad ranem oświadczył Lewczenko, że musi się tam czym prędzej udać, ponieważ wynikało coś bardzo istotnego, czego nie sposób omówić przez telefon. Widząc nieme pytanie i lęk w oczach zbiega, powiedział:

— Nigdy pana nie oddamy. Prędzej już ja i moi przyjaciele złożymy rezygnację i wywieziemy pana własnymi siłami, nim usłuchamy jakiegoś nieprzemysłanego rozkazu. Lecz takiego rozkazu nie będzie, jestem o tym przekonany.

Wrócił o świcie i oznajmił, że Departament Stanu albo też jakaś inna spośród instytucji waszyngtońskich nie wyraziła zgody na plan, by wywieźć go z Atsugi samolotem wojskowym. Będą zatem musieli skorzystać z rejsu pasażerskiego. Oddał Lewczenko paszport z wizą amerykańską i wręczył bilet pierwszej klasy na samolot Pan American, odlatujący z lotniska Narita jeszcze tego samego dnia.

— Lecę z panem — dodał.

— Mogą być kłopoty na lotnisku — ostrzegł Lewczenko.

— Ma pan przecież prawdziwy paszport, wizę, rezerwację i bilet. Nie mogą nas zatrzymać.

— Ale będą próbować.

Na lotnisku bez żadnych problemów przeszli kontrolę paszportową i celną, i kiedy do odlotu pozostawało już tylko pół godziny, Lewczenko wydało się, że wszystkie jego wcześniejsze obawy były bezpodstawne. Lecz wówczas, w poczekalni pasażerów pierwszej klasy, rozpoznał dwóch japońskich oficerów kontrwywiadu, oni zaś — z całą pewnością — rozpoznali go.

— Natychmiast zaalarmuj wszystkie swoje służby — powiedział Robertowi. — Zawiadomiam także Biuro Spraw Zagranicznych i może być pan pewny, że KGB natychmiast zacznie działać.

Wkrótce też do poczekalni wkroczyło około tuzina Japończyków, a w ślad za nimi — jeszcze pięciu albo sześciu.

— Okey — powiedział Robert. — Zaczęły się kłopoty. Lecz zachowajmy spokój i stawmy czoła sytuacji.

Jeden z przybyszów zwrócił się do Roberta: — Chcielibyśmy porozmawiać z tym oto panem.

— Ten pan wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych. Ma amerykańską wizę. A samolot odlatuje za dziesięć minut — odrzekł Robert.

— Bardzo nam przykro, ale znajdujcie się jeszcze na terytorium Japonii. Zamierzamy porozmawiać z tym panem i, proszę wybaczyć, ale nie chcielibyśmy, aby pan uczestniczył w tej rozmowie. Proszę więc przejść w inne miejsce i zaczekać.

Zwarty mur Japończyków zmusił Roberta i jeszcze jednego towarzyszącego im Amerykanina do przesunięcia się w najdalszy kąt poczekalni.

Oficer japoński nakazał Lewczenko usiąść i zaczął przesłuchiwanie.

— Zanim cokolwiek powiem, chciałbym wiedzieć, kim panowie jesteście — przerwał mu Lewczenko.

— Część spośród nas jest funkcjonariuszami Narodowej Agencji Policyjnej. Inni — Komendy Głównej Policji Prefekturalnej. A pozostali są oficerami służby bezpieczeństwa i mają za zadanie pana chronić.

— Nie widzę potrzeby rozmawiania z policją. Niczego nie ukradłem. I sam potrafię zadbać o swoje bezpieczeństwo.

— Jeśli chce pan opuścić ten kraj, taka rozmowa będzie rzeczą niezbędną. Kim pan jest?

— Pan dobrze wie, kim jestem.

— Czym się pan zajmuje?

— Jak panu dobrze wiadomo, jestem tokijskim korespondentem pisma „Nowe Czasy”

— Dlaczego pan wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych?

— Poprosiłem rząd USA o azyl polityczny i uzyskałem go. Nie będę więcej na ten temat dyskutował.

— Czy jest pan oficerem KGB?

— Powiedziałem już panu: jestem dziennikarzem. Jadę do USA za zgodą rządu tego kraju. A pan uniemożliwia mi wyjazd. Mój samolot już odleciał.

— Nie szkodzi. Siedzi pan sobie wygodnie, w eleganckiej poczekalni, a dziś są przecież jeszcze inne loty.

Japończycy przesłuchiwali go przez ponad godzinę, zadając te same pytania i otrzymując wciąż te same odpowiedzi, nie mogli jednak wydobyć stwierdzenia, iż pracuje dla KGB.

— To bezcelowe — powiedział w końcu Lewczenko. — Obaj się tylko powtarzamy. Zdążył już odlecieć drugi samolot, a pan zatrzymuje mnie tutaj wbrew mojej woli. Czy zamierza mnie pan uwięzić?

— Metoda zastraszenia nie powiedziała się, toteż Japończycy uderzyli teraz w ton konfiden-cjonalny.

— Nie, nie. Ale ma pan tutaj wpływowych przyjaciół. My natomiast mamy układ konsularny ze Związkiem Radzieckim. Musimy więc zawiadomić i dać im okazję, aby się z panem spotkali, nim pan stąd odleci.

— Dziwi mnie, że oficer policji bawi się takimi drobiazgami. O ile wiem, problemy tej natury leżą w gestii Biura Spraw Zagranicznych.

— Przedstawiciele Ministerstwa Spraw Zagranicznych są już w drodze.

Kordon Japończyków uniemożliwił Robertowi i jego towarzyszowi śledzenie toku przesłuchania i zbliżenie się do Lewczenki. Jednakże jakiś nieznanomy japoński cywil siedział na tyle blisko, by wszystko słyszeć, i dwa razy, kiedy Robert wyszedł do telefonu, powtórzył mu o czym była rozmowa. A potem, w toalecie, Robertowi udało się wbrew zakazom Japończyków podejść do Lewczenki.

— Jak pan widzi, wszystko to się trochę przedłuża — szepnął Lewczenko. — Zawiadomiono już Biuro Spraw Zagranicznych, można więc wkrótce oczekiwać przybycia gangu z Rezydencji.

Robert odrzekł: — Nasz doradca ministerialny osobiście telefonuje w tej chwili do Ministra Spraw Zagranicznych, a nasi ludzie są już w drodze. Niech więc pan nadal będzie sobą. Jest pan wspaniały.

Wśród czterech przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych, którzy prowadzili przesłuchiwanie, znajdował się również Japończyk, którego Lewczenko rozpracowywał jeszcze w Moskwie, gdy był pracownikiem Drugiego Głównego Zarządu. Nie ujawniając w żaden sposób tej wcześniejszej znajomości, Japończyk zwrócił się doń po rosyjsku:

— Nie mamy nic przeciwko panu, ale zgodnie z naszą umową konsularną Rosjanie mają prawo zobaczyć się z panem, zanim pan wyjedzie. W przeciwnym razie rząd japoński miałby poważne kłopoty.

— Nie sądzę, żeby Japonia musiała drżeć przed Sowietami ani też bać się jakichś drobnych nieporozumień z nimi.

— Nie byłoby żadnych nieporozumień, gdyby pan po prostu zgodził się na spotkanie z przedstawicielami władz radzieckich i wyjawiał im motywację swojej decyzji.

— Spotkanie takie byłoby skandalem dla was i klęską dla mnie. Odmawiam.

Chcąc ich świadomie rozdrażnić, Lewczenko zamówił sobie szampana i, świadom, że Japończycy nie mogą pić na służbie, nie szczędził uwag na temat jego wyborczego smaku. Lecz wszystko to nie zmieniło w niczym faktu, iż zdążył odlecieć trzeci samolot do Stanów. Lewczenkę ogarniał strach, a zaszepiona mina Roberta w drugim końcu poczekalni wzmagała jeszcze ten stan ducha.

Kiedy tak Japończycy konferowali między sobą, jeden z przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych został

nagle wezwany do telefonu. Lewczenko spostrzegł, że w trakcie tej rozmowy spiął się jakoś wewnętrznie, a później poczerwieniał na twarzy. Wrócił, jak gdyby czymś upokorzony, skłonił się i oznajmił zwięźle:

— Może pan opuścić terytorium Japonii. Odprowadzimy pana zaraz do samolotu.

(Ciąg dalszy za tydzień)

**Reklamuj się
w Dekadzie
Literackiej,
przyjmujemy
ogłoszenia
związane
z działalnością
kulturalną**

Hyde Park

Zapraszamy Was do Hyde Parku „Dekady Literackiej”. Będzie to stałe miejsce w naszym tygodniku, w którym drukować będziemy Wasze listy, Wasze próbki literackie. Będzie to wasze miejsce — i w pełni autonomiczne, sami wypełnicie je swoimi tekstami. Jeden warunek: byle krótko!
Czekamy!
Redakcja

Z cyklu: Witold Turdza na tropie nieznanych arcydzieł

W ostatnich dniach Euzebiusz L., magister, dokonał niecodziennego odkrycia. Zawdzięcza je swej niezwyklej pasji badawczej i naukowej dociekliwości. Otóż nikt, kto czytał „Dzienniki” J. Lechońa nie zwrócił uwagi na zapiski z kwietnia 1938 r. „kiedy czytam dziś to moje „Spotkanie” właściwie jestem zadowolony z niego. Tylko ten zegarek...” Notatka zaintrygowała Euzebiusza L. Wiedział przecież, że w 1924 r. Lechoń wydał tomik poezji pt. „Szare i bure”, w którym zamieścił wiersz „Spotkanie”, ale nie ma w nim mowy o zegarku. Wcześniej wydany tomik „Karmazynowy pirat” także nie zawiera utworu o podobnej treści.

A potem była długa przerwa. O jaki zatem wiersz chodzi? Czyżby Lechoń się pomylił? To mało prawdopodobne. Trzeba było więc benedyktyńskiej pracy Euzebiusza L. by wyjaśnić tę zagadkę. Uczony zaczął bowiem przeglądać strona po stronie wszystkie czasopisma, broszury, ulotki, w których mógł znaleźć się utwór wspomniany przez poetę. Lata całe spędził pracowity magister na poszukiwaniach. Pochylił się, posiwał — ale trud jego nie poszedł na marne. Oto, dopiero niedawno, trafił w wielkiej bibliotece w mieście F. na niepozorną gazetę „Notatki poranne — Dodatek literacki” Gazeta, jak ustalił Euzebiusz L., wychodziła stosunkowo krótko a ściśle — zaledwie trzy numery.

W drugim, z 13.VI.1917 r. młodzieńki poeta J. Cherubiński (Lechoń jest jego późniejszym pseudonimem) zamieścił wiersz pt. „Spotkanie”. Właśnie o nim wspomina w „Dziennikach”. Dlaczego utwór nie trafił do żadnego zbioru, trudno dociec. Może młody, romantycznie rozwierzony poeta zapomniał o nim? Tego się już chyba nie dowiemy.

Warto jednak przypomnieć ów wiersz, przede wszystkim ze względu na ogromne zalety poetyckie. Sądźmy, że dorównuje on najlepszym dokonaniom Lechońa i żywym przekonanie, że teraz z pewnością nie zostanie zapomniany.

Spotkanie

*Późną porą, samotny, po nocy upojnej,
po płytach trotuaru pędzony pragnieniem,
Sam nie wiem jak się nagłe znalazłem na Gnojeń
I z nieoczekiwanym spotkałem zwidzeniem.
Przez otwarte ktoś okno dał gardziel pijaną
I wiatr liście przeganiał dmąc niemilosierdzie.
Szedłem chwiejnie, myślałem „już niebawem rano,
Zgasną gwiazdy rozpięte na niebie misternie”
I wśród nocy nie było ni ducha żywego.
Daj forsę i zegarek — rzekło mi zjawisko.
Jak w natchnieniu gwałtownie skoczyłem od niego,
Lecz za późno, by z mocą nie dostać po pysku.
Twarzą bladą posepnie spod daszka kaszkietu
Błysnął tylko i ukrył ją w cieniu nakrycia,
Jak księżyc — ukochany rekwizyt poety —
Gdy spoza chmur zasłony budzi się do życia.
On to rzekł, czy też inny co został w ciemności —
Padłem strzegąc portfela rękami obiema.
„Nie ma zła ani dobra, żalu ni litości
Jest tylko ten zegarek. I właśnie go nie ma”.*

GRAFFITI

Tik—Tak walczy!
/Warszawa/

W r ó ż ę, jem z ręki
/inne propozycje/
/Kraków/

A QQ
/Kraków/

Witajcie wsioki
z Warszawy
/przed dworcem
Poznań Gł./



Dekada Literacka - tygodnik kulturalny
Wydawca: Spółka Wydawnicza "Gazeta Krakowska"
Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1 IV piętro
Redaguje Zespół: Leszek Elektorowicz, Ewa Lipska,
Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy-Löhman,
Włodzimierz Maciąg, Łęszek Orłowski (grafik),
Jan Piekło, Jan Prokop, Bogdan Rogatko,
Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny),
Teresa Walas, Marta Wyka
Współpracują: Danuta Abrahamowicz,
Stanisław Balbus, Waclaw Iwaniuk (Toronto-Kanada),
Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek,
8 Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański,
Wisława Szymborska

graffiti

Nie
i
e
j
k
i
t
u
/Kraków/

Reksio — nasz
prezydent
/Kraków/

Wszystkie grzyby są
jadalne.
Ale niektóre tylko raz!
/Kraków/

Dyskomani do **GAZU**
/Kraków/

Παραπορα
naszym hobby
/Kraków/

czyli mówią
mury

Marta Wyka Paczka ratownicza

Cóż to takiego? Wymyślił ją na użytek swojego powieściowego bohatera Antoni Słonimski w książce „Dwa końce świata” (1937). Jej akcja dzieje się w latach 50-tych naszego stulecia, opowiada ona zaś o katastrofie, którą na cały świat z Polską włącznie sprowadził szaleńiec, dyktator a także twórca niszczących Niebieskich Płomieni. Wielka katastrofa zmiata zatem z powierzchni globu całą naszą cywilizację, ale parę osób cudem uchodzi przed zagładą i usiłuje odnaleźć szczątki swojego świata w unicestwionym krajobrazie ducha. Jak nietrudno się domyśleć, są to osoby wobec siebie skontrastowane, bo inaczej powieść nie miałaby wystarczającego powodu, aby toczył się dalej. Pośród nich znajduje się niepoprawny inteligent i tym sposobem dochodzimy do ratowniczej paczki. Otóż pan Henryk Szwalbe, subiekt księgarski, posiadał antidotum na wszelkie końce świata: widział je mianowicie w nieprzeczytanych dotąd tomach Prousta, w „Lalce” Prusa, w „Tajfunie” Conrada, pochłanianych przy akompaniamencie rozkosznego zapachu papierosów marki Chesterfield. Pan Szwalbe chciał zatem czytać książki i poszukiwał w nich ocalenia. Może coś da się odbudować wedle humanistycznej recepty? Pan Szwalbe był w błędzie, co usiłował wytłumaczyć mu jego towarzysz niedoli, mistrz budowlany Chomiak, amator mocnego trunku, zakąski i lżejszego nieco życia. Pośród różnych powieściowych perypetii dyktator zostaje co prawda obalony, ale pan Szwalbe nie znajduje się bynajmniej pośród zwycięzców. Jego ratow-

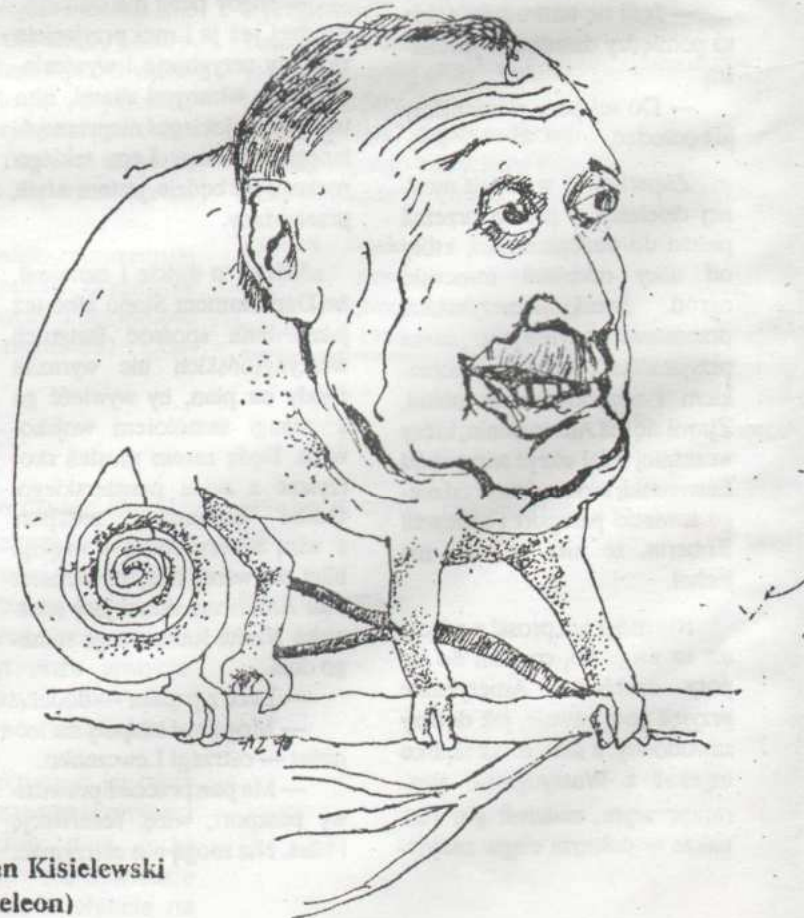
nicza paczka budzi politowanie. Prawdę mówiąc, nikomu oprócz niego samego nie jest już ona potrzebna. Nikt nie chce pożytych ulubionych tomów. Nikt nie wie, co się w nich znajduje. Pan Szwalbe wybiera samotny los w zrujnowanej Warszawie wiedząc dobrze, iż paczka nawet jemu nie zapewniła miejsca w nowym świecie, który gdzieś, po za jego wolą i wyobraźnią, powstaje.

Zatem ogarnięta pogardzanymi pasjami jednostka ponosi klęskę przybierającą kształt metamorfozy. Wartości, tak kochane przez skromnego subiekta księgarskiego odchodzą poza myślowy horyzont nowego świata.

Pan Szwalbe traci swoje dziedzictwo, będące drobną częścią ducha jego epoki. Słonimski w latach trzydziestych nie myślał zapewne aż tak metamorficznie, ale dzisiaj okazuje się, iż sytuacja, którą stworzył, ma walor powtarzalności. Inteligent spowinowacony z panem Szwalbe jest śmieszny i niepraktyczny, pozbawiony siły perswazji, skazany na izolację.

Smutna historia bohatera „Dwóch końców świata” zaczyna znów brzmieć aktualnie. Ale dla kogo? Dla mnie zapewne, dla wąskiego grona „liberalnych inteligentów” (należał do nich również Słonimski). Wokół nas dzieją się przypadki, sterowane przez tłum pożądający Chomiakowej kielbasy, my zaś dawno już zamknięci w naszym hermetycznym języku, próbujemy kleić jakąś nową paczkę ratowniczą. Prawdę mówiąc robimy to bez przerwy i pewnie nie poniechamy tej niepraktycznej krzątarniny.

Andrzej Zareba przedstawia



Stefan Kisielewski
(kameleon)